

A V A R E E D



Drowning Souls

SZPITAL WHITESTONE



A V A R E E D

Drowning Souls

SZPITAL WHITESTONE

TOM 2

Z NIEMIECKIEGO PRZEŁOŻYŁA
EMILIA SKOWROŃSKA



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Drowning Souls

Whitestone Hospital #2

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Maria Mazurowska, Agnieszka Nowak

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Małgorzata Lach

Projekt okładki: Jeannine Schmelzer, Bastei Lübbe AG

z wykorzystaniem motywów ze Stock.Adobe.com: © FlammaChe, © HstrongART
oraz ilustracji autorstwa © Jeannine Schmelzer

Wyklejka: © jenesesimre, © merfin / Stock.Adobe.com

Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda

DTP: Maciej Grycz

Whitestone Hospital – Drowning Souls

Copyright © 2023 by Bastei Lübbe AG, Köln

Copyright © 2024 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Emilia Skowrońska, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie
i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź
fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody
posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-516-2

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



ROZDZIAŁ 1



Sierra

Ach, czyli tak wygląda strach. Nie o siebie, nie o swoje życie, lecz o życie innych.

Myślałam, że znam to uczucie, ostatecznie towarzyszyło mi ono niemal od urodzenia i nigdy mnie nie opuściło. Strach przed tym, że nie poradzę sobie na studiach, że zawiodę – zwłaszcza w pracy – i nigdy nie znajdę swojego miejsca w świecie; że nie będę nigdzie pasować. Nie będę dostatecznie dobra. Dostatecznie ważna. Dostatecznie wartościowa.

Po prostu nie będę dość.

Bałam się, że się stracę, jeszcze zanim się odnajdę.

Ale to tutaj to coś zupełnie innego. Taki strach to nie tylko towarzyszące mojemu życiu słowo, nie tylko mój cień, tępy ból w żołądku czy lekkie ciągnięcie. Nie, ten strach miażdży moje płuca i wnętrze. Chce powstrzymać bicie mojego serca. To zdecydowanie bardziej uczucie niż tylko słowo.

I kiedy mnie trawi, dociera do mnie, że to wszystko nie może być prawdą.

Co się właśnie stało? Jak i dlaczego? Laura i ja kończyłyśmy pracę, byliśmy w dobrych nastrojach, a ja się cieszyłam, że ona wreszcie jest sobą. Że po problemach z Nashem i całym tym badziewiem, które nastąpiło potem, nic jej nie jest, nie ma żadnych długotrwałych skutków, a jej żebro się zrosło.

Szłyśmy powoli w kierunku windy, z której Ian wysiadł dokładnie wtedy, gdy my skręciłyśmy za róg. W tym samym czasie Nash, Mitch i kilka pielęgniarek chcieli jak najszybciej zawieźć nowo przyjętego pacjenta na salę operacyjną. Nie weszli nawet do środka, drzwi windy jeszcze się nie zamknęły, gdy nagle coś wybuchło, wycisnęło powietrze z naszych płuc i wyrwało nasz świat z zawiasów.

A teraz, mgnienie oka później, nie wiem, gdzie patrzeć, co myśleć ani co zrobić w pierwszej kolejności.

Ian leży na podłodze, nieprzytomny i brudny. W głośnikach rozbrzmiewają jakieś komunikaty, ale nie jestem w stanie zrozumieć ani jednego pieprzonego słowa, ponieważ wokół panuje potworny hałas, a moje myśli nagle stają się o wiele za głośne. To tak, jakby mój mózg przełączył się w tryb gotowości, aby móc sobie z tym poradzić, a moje ciało przestało prawidłowo działać. Jestem jak sparaliżowana – mimo że już odepchnęłam Laurę na bok i wyraźnie czuję, jak robię jeden krok za drugim. Poruszam się. Szybciej i szybciej.

Biegnę w stronę chaosu, w ramiona tego niszycielskiego strachu, którego rechot słyszę w najgłębszych zakamarkach siebie. To jakieś szaleństwo, bo do tej pory z nas dwóch to ja myślałam racjonalnie i powstrzymywałam Laurę przed pochopnym działaniem. To ja nie chciałam, by moja przyjaciółka

zachowywała się impulsywnie. A przecież nie wiemy, co dokładnie się stało, jak niebezpieczne to było ani czy nadal coś nam grozi. Kiedy jednak Laura wypowiedziała imię Mitcha i innych, dotarło do mnie, że to nie był zwykły wypadek. Zrozumiałam, iż mamy do stracenia więcej niż zwykle – a ten wybuch może mieć katastrofalne skutki.

Huk wciąż dzwoni mi w uszach i zaczynam kasłać od wdychanego dymu. Nagle widzę, że Laura już dawno mnie wyprzedziła.

Zatrzymuję się tuż za nią, gdy pada na kolana przy Ianie, by go zbadać. Nie mam pojęcia, jak jej się to udaje. Nie wiem też, jak mogła wybrać Iana – choć jest logicznym wyborem, bo zobaczyliśmy go jako pierwszego – zamiast Nasha. Nasha, na którego widok ciężko przetykam, gdy w końcu w pełni skupiam wzrok na otwartej windzie i rozglądam się, lekko mrując łzawiące oczy. Sapię i zasłaniam fartuchem usta oraz nos, ponieważ gryzący zapach, którego nie potrafię nazwać, staje się zbyt intensywny.

Cokolwiek to było, niemalże całkowicie zniszczyło wnętrze windy. Prawie każda lampa jest rozbita, wszędzie leżą odłamki szkła, światło zza nienaruszonych kloszy migocze dziko bez ustalonego rytmu, lecą iskry, a wszyscy ludzie, którzy byli w windzie, leżą nieruchomo na podłodze lub są w jakiś sposób zmiążdżeni.

Lisha, pielęgniarka z ostrego dyżuru, wyleciała z kabiny, jej ciało blokuje drzwi; zamykają się, lekko ściskają Lishę, ale z powodu oporu natychmiast odskakują i wszystko zaczyna się od nowa, a ja jestem w stanie tylko chłonąć to szaleństwo z nadzieją, że nie padnę jego ofiarą.

Tyle gruzu, tyle rozbitego szkła, tyle krwi i chaosu.

– O mój Boże... – szepczę i natychmiast zaczynam kasłać.

Chcę zająć się Lishą, sprawdzić, co z nią, ale nagle zauważam ogień, który rozprzestrzenia się zbyt szybko w tylnej części windy, generując coraz więcej dymu. Nie wspominając o gazach po wybuchu.

– Cholera! – klnę, a Laura natychmiast jest przy mnie.

– Sierro, nie możemy... – zaczyna, ale jej głos łamie się na widok Nasha. Na widok ognia.

Się załamywać.

Poddać się temu bólowi.

Stracić nad sobą panowania.

Jestem niemal pewna, że na dźwięk mojego przekleństwa Laura miała wypowiedzieć właśnie jedną z tych kwestii. Ale kiedy widzi pełną skalę tego wszystkiego, kiedy zauważa Nasha – nieprzytomnego, zakleszczonego w lewym przednim rogu kabiny między przewróconymi noszami i ścianą – wszystko do niej dociera.

Gdzie jest Mitch? Dlaczego go nie widzę? Może jednak nie wszedł do windy? Cholera, dym staje się coraz gęstszy, oczy coraz bardziej mnie pieką i coraz trudniej mi cokolwiek zobaczyć. Muszę tam iść, ale najpierw ktoś powinien ugasić pożar.

Laura szepcze imię Nasha i zaciska dłonie w pięści, a ja wiem, jak bardzo chce do niego pójść. Ale lekarka w niej wygrywa – moja przyjaciółka mruży oczy na sekundę lub dwie i mówi do mnie to, co właśnie sama sobie uświadomiłam:

– Nie zdążymy, najpierw musimy ugasić pożar. Przynieś koce. Nie możemy użyć gaśnicy CO₂, bo nie umiemy tego zrobić i możemy uszkodzić sobie drogi oddechowe, zwłaszcza w windzie. Z tyłu jest jeszcze taka proskowa, ale ona z kolei zanieczyści rany i pogorszy sytuację. Zajęłam się Ianem tak, jak

umiałam. – Dzieli się ze mną całą swoją wiedzą i swoimi przemyśleniami i choć sama o tym wszystkim wiem, nie przerywam jej. Z pewnością mówi tylko po to, by nie stracić skupienia. Kiwam więc głową, podczas gdy podbiegają do nas pierwsi ludzie. – Do czasu twojego powrotu zajmę się Lishą i usuwaniem gruzu. Inaczej nie dotrzemy do pozostałych – kontynuuje Laura, a ja popełniam błąd i jeszcze raz zerkam w stronę windy... Tym razem dostrzegam Mitcha. Widzę tylko zarys sylwetki, ale jestem pewna, że to on. On tam jest. Jakaś część mnie to wiedziała, to było logiczne i jasne; ale druga część, która miała nadzieję, że się myślę, po prostu się załamuje.

Nie! Ja...

– Sierra! – syczy Laura, powstrzymując mnie.

Nawet się nie zorientowałam, że ruszyłam przed siebie. Że wyrwałam do przodu i nie tylko pomyślałam „nie!”, lecz także je wykrzyczałam. I że nadal krzyczę. W środku. Ponieważ kończy mi się powietrze i znowu zaczynam kasłać.

– Pożar – powtarza Laura, a ja wybiegam.

Znów biegnę ze strachu, tym razem jednak nie jestem sparalizowana. Moje wahanie nie trwało długo, ale kosztowało nas cenne sekundy. Kosztowało cenne sekundy naszych przyjaciół i przyjaciółkę...

Jak najszybciej łapię apteczkę z SOR-u; są w niej koce.

Alarm stał się muzyką w tle, korytarz zamienił w mrowisko. Wokół kręci się coraz więcej ludzi, przybywają kolejni pracownicy. Krzyczą w zamieszaniu, pędzą po schodach, aby pomóc i utrzymać kontrolę nad oddziałem ratunkowym. Żeby – w razie potrzeby – rozpocząć ewakuację.

Kiedy ponownie stoję przed windą, Ian został już ostrożnie przeniesiony i podłączony do ekranu za pomocą elektrod

EKG. Jego stan jest monitorowany. Gdy tylko zabrają go z tego niebezpiecznego obszaru, pewnie podadzą mu tlen. Obok dziesiątek innych pielęgniarek i lekarzy rozpoznają doktora O'Leary'ego i Granta, który teraz klnie i dyszy, pomagając ustabilizować Lisę.

Ja i Laura w końcu możemy dostać się do windy, której drzwi są teraz otwarte na stałe i zablokowane. Zaczynam gasić ogień kocem. Płomienie trawia już znajdujące się obok łatwopalne materiały. Nawet ubrania Mitcha. Ale natychmiast tłumię tę myśl, bo boję się, że mnie sparaliżuje.

Dym wciąż jest tak samo gęsty, widoczność wcale się nie poprawiła, ale nieważne. Działam dalej, pocę się, czuję drapanie w gardle, aż wreszcie nie widzę już ani jednego płomienia czy iskry. Zgasiłam pożar.

Ogień zniknął, a wraz z nim potencjalnie największe źródło zagrożenia. Pomijając oczywiście możliwe toksyczne gazy, które właśnie wdychamy. Potrzebuję maski, wszyscy potrzebujemy masek, oddychanie przez mokrą szmatkę nic nie da. Zawsze wszystkich uczymy, że najważniejsze to chronić siebie. Tyle że w tej chwili jest to niemożliwe. Nie pójde po maskę, nie mogę tego zrobić, bez względu na to, jak nieostrożne czy bezmyślne jest takie zachowanie.

Rzucam koc w kąt, zaczynam dyszeć i kaszleć. Laura jest już przy Nashu, próbuje go wydostać, nawiązać z nim kontakt i widzę, jak rozum walczy w niej z odruchami serca.

Rozumiem to. Bo po raz pierwszy ja również to czuję. To wewnętrzne rozdarcie. Wszystko we mnie pragnie pędzić do Mitcha. Pacjent, którego wcześniej przywieziono, również tam leży, na samym środku windy, przyciśnięty ramą leżanki i w kałuży krwi, a obok niego George, który przez połowę zmiany

niestrudzenie nas dziś wspierał. Ani Laura, ani ja nigdy nie miałyśmy z nim bliższego kontaktu, bo był pielęgniarem na oddziale ratunkowym, a nasze zmiany rzadko się pokrywały. To raczej cichy facet, czasami zrzędlawy, ale zawsze grzeczny. Dobrze wykonuje swoją pracę. Znam go. To mój kolega. Cholera...

Pocę się, trzęsę z zimna, jestem na granicy utraty zmysłów. Wydaje mi się, że jesteśmy tu od zawsze. Jakbyśmy poruszali się w zwolnionym tempie, podczas gdy wszystko wokół nas się rozpada. A przecież minęło tylko kilka minut. Sekund.

To jedynie mgnienie oka.

– Przybiegłam najszybciej, jak mogłam – słyszę obok siebie i nie muszę się odwracać, by wiedzieć, że to Zeenah. Nie da się nie rozpoznać jej jasnego, uspokajającego głosu. Jest też jedyną z nas, która nie przeklina, gdy wszystko wokół upada.

– Zajmij się George'em i wezwij kogoś do pacjenta – mówię z nadzieją, że nie brzmię zbyt surowo ani arogancko, przecież Zeenah jest cholernie dobra i wie, co robić. Teraz jednak nie mogę się tym zająć i przekazać jej Mitcha. Muszę się do niego dostać i nie obchodzi mnie, co to o mnie mówi. O mnie jako osobie. O mnie jako lekarce.

Jest mi to obojętne.

Potykam się o pręt i upadam, ale to też nie ma znaczenia. Podczołguję się do Mitcha, udaje mi się uklęknąć obok niego w gruzie i pyłe. Przetykam ciężko ślinę, a moja dłoń nagle zaczyna żyć własnym życiem i zamiast sięgnąć w lewo do Mitcha, spoczywa na szyi pacjenta, którego właśnie mieli zabrać na salę operacyjną, by go uratować. To ze względu na niego wsiedli do tej windy.

Brak pulsu.

Ale to nie tylko to. Mężczyzna ma szeroko otwarte oczy, polowa jego twarzy jest rozerwana, podczas gdy prawie całe ciało znajduje się pod leżanką. Gdy został przyjęty do szpitala, jego stan był krytyczny, ale to?

Nie miał szans.

– On nie żyje – mówię i wiem, że Zeenah mnie usłyszała, bo dociera do mnie jej „okej”. Kątem oka widzę, że działa profesjonalnie i spokojnie, próbuje poznać skalę obrażeń George’a.

A potem skupiam się na Mitchu. Kaszlę ostatni raz, przecieram oczy dłońmi i natychmiast uświadamiam sobie, że to był błąd. Dopiero po chwili mgła w nich znika i mogę go zbadać. Ta winda, smród, duszne powietrze, cały ten chaos i migoczące światła wydają mi się klatką. Paszczą potwora, który grozi pożarciem nas wszystkich.

Z walącym sercem sprawdzam puls Mitcha i jego oddech – i przy tym sama przestaję oddychać. Nie mogę inaczej.

A kiedy wreszcie wyczuwam jego słaby oddech, bicie jego serca, kiedy dostrzegam, że jego klatka piersiowa unosi się i opada, nie potrafię powstrzymać westchnienia ulgi. Nagle brakuje mi sił, prawie przewracam się do przodu. Mam ochotę przytulić Mitcha i jednocześnie na niego nawrzeszczeć.

Oddycha.

Jego serce bije.

A przecież ja nawet nie lubię tego faceta. Przecież to jeszcze prawie dziecko. Jest irytujący i doprowadza mnie do szału.

Ale jeśli teraz umrze – nieważne jak ani dlaczego – to przysięgam, że sprowadzę jego duszę z powrotem i ukatrupię go raz jeszcze. Bo doprowadził mnie do takiego stanu. Bo tak cholernie mnie przestraszył.

Sprowadzę go z powrotem... To postanowienie dodaje mi nowych sił, zapewnia mi skupienie, którego tak potrzebuję, aby przez to przejść.

Mitch ma zamknięte oczy, jest nieprzytomny i gdyby nie cały ten pył, krew i rany, pomyślałabym, że spokojnie śpi.

Kiedy zaczynam go badać, robię sobie potrzebną przestrzeń i nagle czuję, że moje spodnie stają się mokre na kolanach. Pewnie nasiąkają krwią i brudem. Czuję też drzazgi i odłamki, które boleśnie wbijają się w moją skórę.

Ale to nie ma żadnego znaczenia. Nic nie ma znaczenia.

– Potrzebuję pomocy! Nosze, wenflon! – Odwracam się i krzyczę na całe gardło, by zagłuszyć hałas wokół. Wyliczam wszystko, czego potrzebuję. Nie wiem, czy w ogóle ktoś mnie słyszy.

Lisha nie leży już w windzie, właśnie jest badana, więc Laura, Grant i jeszcze jeden lekarz nie mają większych problemów z dojściem do przewróconych noszy. Udaje im się je wyciągnąć i odwrócić. Przy panującym wokół chaosie jest tu zbyt ciasno i duszno dla tak wielu osób. Następnie Nash zostanie zabrany z windy tak szybko, jak to możliwe, i w zależności od obrażeń przewieziony najprawdopodobniej na salę operacyjną lub przynajmniej na tomografię. Badanie MRI można wykonać później, jeśli konieczna będzie dalsza diagnostyka.

Nagle EKG George'a – podłączono go do mobilnego sprzętu diagnostycznego – zaczyna wydawać sygnały dźwiękowe. Robi się jeszcze bardziej gorączkowo, ale wszystkie ruchy są celowe i zgodne z planem. Teraz do akcji wkracza defibrylator, aby poradzić sobie z zaburzeniami rytmu serca u George'a.

– Odsunąć się! – krzyczy Zeenah, a ja odwracam wzrok; nie mogę na to patrzeć i bardzo się tego wstydzę.

Zajmowanie się obcymi ludźmi to jedno, ale pacjenci, których się zna i lubi, to coś zupełnie innego. Niby to samo, ale jednocześnie coś zupełnie innego. Wysiłki głowy zamieniają się w wysiłki serca. A potem to wszystko wpełza pod skórę. I zaczyna sprawiać naprawdę potężny ból.

Przetykam głośno ślinę, kilka razy mrugam, a następnie wracam do badania Mitcha. Dym unosi się szybciej, niż myślałam, i nie kaszlę już tak często i gwałtownie. Dociera do mnie coraz więcej szczegółów, ale ja niemal pragnę, by tak nie było. Bo to, co teraz zauważam, sprawia, że moje serce na chwilę staje, usta klną, a płuca się ściskają. Mija jedna sekunda, druga... i w końcu udaje mi się zareagować.

Mitch ma poważne oparzenia. Zanim zdążyłam ugasić pożar, zajął on jego fartuch, tkanina stanęła w płomieniach, które następnie przedarły się do ciała Mitcha. Ogień nie zna litości. To pasożyt, który nie zdaje sobie sprawy, że gdy niszczy innych, szkodzi tylko sobie. Że zabija sam siebie. Zupełnie jak rak. Ale może właśnie o to chodzi. O niszczenie. A nie o przetrwanie.

Nawet w tych warunkach widzę, co ogień zrobił z górną częścią ciała Mitcha, jego lewym bokiem i lewym udem. A przecież miałam nadzieję, że płomień nie dotrą tak daleko, że zdążę je ugasić. Ale mi się nie udało. Jeśli Mitch się dowie, że to ja nie ugasiłam pożaru na czas, że nie byłam wystarczająco szybka, znienawidzi mnie.

Pragnę wykrzyczeć swój gniew i swoją rozpacz, zamiast tego jednak przygryzam wnętrze policzka.

I działam dalej. Ze wszystkich sił skupiam się na tym, co teraz najważniejsze.

Nie mogę zdjąć jego fartucha. Mitch musi trafić na salę operacyjną, bo to cholerstwo przykleiło mu się do skóry i w niektórych

miejskach, zwłaszcza na biodrach i w talii, się w nią wtopiło. Przygryzam mocno wargę, by powstrzymać się od głośnego krzyku. Wreszcie czuję smak krwi. Jego udo również ucierpiało, podobnie jak ręka. Nie widzę dokładnie, ile skóry pozostało. Gdybym jednak miała szacować, jaki procent jego ciała uległ poparzeniu, powiedziałabym, że od osiemnastu do dwudziestu. Tyle z jego ciała się spaliło.

Może więcej, może mniej. Nie jestem fachowcem w tej dziedzinie, pamiętam jednak, że poparzenia dzieli się na stopnie. Im wyższy stopień, tym poważniejsza sytuacja. Skóra na jego nodze aż do lewej strony klatki piersiowej jest czerwona, bez białych miejsc. To dobrze. Być może Mitch będzie mieć szczęście i stopień poparzenia to co najwyżej IIa. Ale klatka piersiowa do pasa, ramię i bark są nie tylko głęboko czerwone, lecz także pokryte białymi plamami i dziesiątkami pęcherzy, które zdążyły się już utworzyć. Skóra wydaje się biaława, sucha, przyglądam się jej bliżej i widzę, że jest raczej twarda niż miękka. Cholera. Rozległe i głębokie oparzenia. W niektórych miejscach może być nawet stopień III, ale naprawdę wiem za mało o oparzeniach, a to migoczące światło w windzie wcale mi nie pomaga. Ponadto skalę oparzeń często określa się dopiero podczas operacji.

Znowu przeklinam, ponieważ uszkodzone mogły zostać głębsze warstwy skóry, nerwów i naczyń krwionośnych – i nie bardzo wiem, jak postępować.

Moje palce drżą, mrużę oczy i zmuszam się do skupienia na obecnej sytuacji, nie mogę pozwolić, by zmartwienie przejęło nadę mną kontrolę.

Mitch potrzebuje ciepła. Choć brzmi to paradoksalnie, podczas poparzenia ciało się ochładza. Poza tym potrzebuje tlenu,

należy też schłodzić przynajmniej te powierzchowne oparzenia. Należy go również jak najszybciej dokładnie zbadać, aby wykluczyć złamania kości, krwotoki wewnętrzne i inne obrażenia.

Siedzę tu z nim pewnie niecałe dwie minuty, ale wydaje mi się, że znacznie dłużej. Dwie minuty mogą być wiecznością, jeśli nie masz pojęcia, co wydarzy się za chwilę. Jak się to wszystko skończy...

Gdy się rozglądam, kręci mi się w głowie. Wreszcie do mnie dociera, że droga do wyjścia jest całkowicie wolna. Nash, Lisha i Ian zostali zaopatrzeni i zabrani, być może są już na sali operacyjnej, nie wiem, jak wygląda sytuacja z George'em. Opiekunka i pielęgniarka są w drodze, by mi pomóc. Żeby pomóc Mitchowi. W innych okolicznościach miałabym wyrzuty sumienia, że nie zapamiętałam ich imion.

Boże, jak ja bym chciała, żeby okoliczności były inne...

– Ostrożnie, jest poważnie poparzony. Dajcie znać na chirurgii oparzeniowej, żeby się przygotowali – mówię. – I wnieście nosze tak daleko, jak to możliwe. – Wyjaśniam im wszystko, wymieniam, czego jeszcze potrzebujemy, przekazuję to, co przychodzi mi do głowy, a oni uważnie mnie słuchają, kiwają głowami, po czym zabierają się do pracy i mi pomagają.

I wreszcie wynosimy stąd Mitcha.

PAPIEROWE SERCA to miłość z każdej strony!



Te historie są naprawdę



SPICY

Sugerowany wiek: **18+**



-  WYDAWNICTWO PAPIEROWE SERCA
-  WYDAWNICTWOPAPIEROWESERCA
-  PAPIEROWESERCA
-  WYDAWNICTWOPAPIEROWESERCA